

# KURS PRZYBOCZNYCH 1

Uczestnicy : Basto, Krzysztof (szkoleniowcy), Belci, Krzeczek, Basia, Daro, Tomasz, Fifez (kuchnia), Ania Kaduliec, Ania Krysiel, Terka, Aga, Bara, Karina, Ala, Aneta, Cyc, Andrzej, Tomasz Franek, Tomasz Hanzel, Robert, Roman, Kuba, Daniel, Roman, Jaco, Stacho, Bronia (uczestnicy)



Raz na jakiś czas się zdarza, że człowiekowi przypadnie (niekiedy z własnej woli a niekiedy z woli losu) napisać kronikę pewnego biwaku, wycieczki bądź tej innej akcji drużynowej. Kurs przybocznych jest akcją jedną z mała w

swym rodzaju, co niestety nie zmienia niczego na fakcie, iż problemy z kroniką pozostają wciąż takie same, a mianowicie: Jak rozpocząć?

Na początek naruwają mi się na myśl wyrazy, od których, jak nam wbijały w głowy nasze panie polonistki, nigdy nie wolno rozpocząć zdania czyli no, że, iż, więc,...

No więc pewnego popołudnia... NIE! NIE! NIE!!! Jeszcze raz...

O 16.05 wszyscy uczestnicy kursu (a było ich aż 18 z 3 drużyn: Karwna, Cierlicko i DPTY) spotkali się na dworcu kolejowym i wyruszyli pociągiem do Boconowic. Jazda pociągiem to wspaniała okazja by przejść całego zatłoczonego City Elefanta w poszukiwaniu wolnego przedziału. „Wbrew oczekiwaniom” go nieznaleziono. Po wysiadce w Boconowicach i przechadzce do PZKO w Dolnej Łomnej wciąż nie było uczestników w wir wrażeń którego nikt z uczestników nie oczekiwał. Nie sposób opisać to słowami, bo to trzeba przeżyć. Postaram się jednak choćby częściowo przybliżyć tamte zdarzenia. A wszystko rozpoczęło się w jak najbardziej właściwy sposób, czyli swaczynką. Zaraz po niej nadeszła gra.





Czarodziej. Każdy z kursantów otrzymał po 2 kartki. Należało napisać 2 rzeczy, które czynią człowieka szczęśliwym. Potem zaprowadzono nas do zaciemnionej sali. I tu wszystko się zaczęło. Sala była oświetlona za pomocą świec. Cienie migotały jak duchy na ścianach. Powoli odgrywano przed nami scenę przejścia ścieżki, po której mieliśmy się po chwili udać. Koniec sceny. Można wyruszać. Niechce iść pierwszy. Uff... ktoś poszedł. A za nim dalszy. Szybciej! Nie mogę zostać ostatni. Ruszam. Zabieram świeczkę – znak życia. Wychodzę. Po 2 krokach zamieram bez ruchu. Czarodziej patrzy. Nie wolno mi się poruszyć. Jeśli tak to czarodziej zdmuchnie mi świeczkę a wtedy ktoś będzie musiał podejść i zapalić moją świeczkę, cały czas narajając się na wzrok czarodzieja. Uff... odwraca się. Przeniwam się do pierwszego kęsu. Tam jestem bezpieczny. Siadam i czytam wiadomość na nadpalonej kartce.



Muszę spalić 1 z kartek. 1 z rzeczy, które czynią mnie szczęśliwym. 1 z 2 ważnych rzeczy. 1 bez drugiej nie musi działać częściowo, druga bez pierwszej w ogóle. Spalam jedną. Nóż niepewności wcina się w mózg. Czy zrobiłem dobrze? Czy ta druga rzecz nie jest ważniejsza? Muszę już iść. Dalsze z kolei było kolo teatru. Trzeba było tam ustawić poraż przedstawiający siebie. Pod koniec należało wejść na most i zdjąć zawieszony nad sobą klucz. Na chwilę patrzeć na klucz zamiast na czarodzieja a przy tym nie zrzucić świeczki. Niełatwa sztuka. To był na szczęście ostatnie zadanie tej gry i wszyscy mogli spokojnie odetchnąć.

Odpooczynek jednak nie trwał długo. Rozdano nam obrazki. mieliśmy się dobrać w

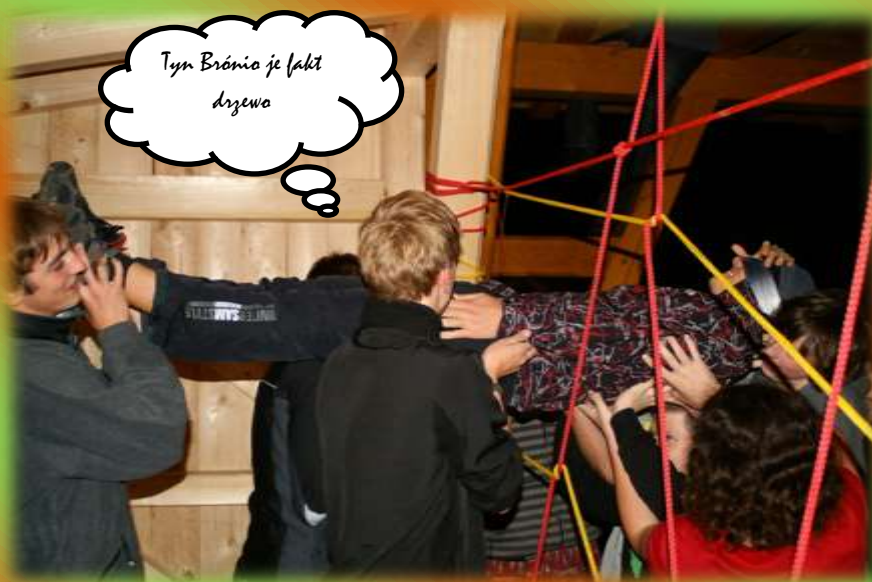


dwójki według nich. Jedynym problemem było to, że żadne 2 obrazki nie były identyczne. No i jak tu się potem dobierać w dwójki? Jeszcze kiedy mówić nie można? Ja mu coś pokażę a on odliże to zupełnie inaczej?





Była wesoło, ale w końcu wszyscy dali rady. Nie było jednak chwili do stracenia. Nadeszła bowiem dalsza gra. Trzeba było przedostać się przez pajęczynę z lin. Łatwizna co nie? Otóż, jak zwykle, było parę utrudnień do pokonania. Nie wolno nam było dotykać pajęczyny, za każdy dotyk zakazano komuś mówić, bądź też go oślepiono, oczywiście połowa z nas została ślepa oraz niema równocześnie. Do tego należało użyć każdej z dziur w pajęczynie a niektóre były bardzo małe, wysoko położone czy też w najlepszym wypadku oboje. W grupie 18 osób to nie łatwe zadanie. Nie udało nam się go (i choć o ciut) wykonać, jednak poznaliśmy przynajmniej niedorobności naszego kolektywu i współpracę w nim. Myśle, że było to o wiele ważniejsze niż spełnienie zadania. Po tej grze wszyscy tempie położyli się spać.



Pobudka następnego ranka wyglądała raczej na całkiem zwykłą (z wyjątkiem muzyki jej towarzyszącej – Wiosna A. Vivaldiego), zato gimnastyka poranna była znacząco różna od swego obozowego odpowiednika. Jak zwykle kładziono nacisk na współpracę w grupie a wie

przyziady robiliśmy w grupach od 2 do 8 opierając się plecami o siebie i nie używając rąk.

Cały następny dzień sprawadzał się kolejno do różnych niemych bądź ślepych ćwiczeń począwszy od torów przeszkód przez układanie figur geometrycznych aż po wędrowki po lesie a niekiedy nawet po cudzych ogródkach). Chciałbym wymienione dokładniej opisać. Rozpoczne więc od torów przeszkód. W dwójkach pokonywaliśmy różne przeszkody. Jeden z nas był

ślepy, drugi miał go prowadzić na sto sposobów. Mieliśmy przeprowadzić ślepego przez położoną poziomo drabinę.





Jedynym środkiem komunikacji był wzajemny dotyk dłońmi. I jak tu wytłumaczyć za pomocą dotyku dłoni, że trzeba przekroczyć szczebel i że nie można na niego nadeprnąć? Już tutaj było fajnie a miało być jeszcze lepiej.... Dalej każdy (wszyscy byli ślepi) dostał do ręki linę. Mieliśmy się ułożyć w kwadrat. Wszedł raczej trapez... Jeszcze raz i wyszłoby lepiej. Następnie parę ćwiczeń różnych sposobów prowadzenia (pociąganie, popychanie, itd.) i przechodzimy do dalszego ćwiczenia -

A jak poznać,  
że to ma 90°



zatrzymywania biegnącego. 1 z grupy biegnie przeciw murowi jego przyjaciół z zawiązanymi oczami. Z początku wszyscy biegli pewnie, lecz w połowie trasy wszyscy z wyjątkiem Jacka

przeszli na ostrożny „bieg konia“, czyli najpierw nogi potem tułów a w końcu głowa. Dostyc podobna okazała się dalsza gra. Osmioro ludzi stworzyło swego rodzaju łójkę z rak. Należało tylko skoczyć. Tylko jest problem. Czy mnie to utrzyma? Gdy się rozbiegnę i wyskoczę wysoko nie musi wytrzymać! Jedyną osobą która spadła był Krzysztof, jako pierwszy przedskoczek. Później utrzymaliśmy nawet Bastka. Najlepsze jednak miało dopiero nadejść. Wyprowadzili nas gdzieś do lasa ok. kilometra stromo pod górke.



leć, leć, leć,...



A tam, a dziwo, dobrano nas w piatki, zawiązano nam oczy i traficie powrotem do PZKO! Kiedy dojdziecie do furtki możecie rozwiązać oczy!



Przysięży raz lecym emy  
3 kółka



Do widzenia! Miłego dnia!... I co tu teraz robić? No chyba najlepiej iść w dół. (Nie wiem jakim cudem, ale w celu powiedzieli nam, że nasze w dół zmierzają pod górę, no cóż...) Tarzając się w potokach, wbijając sobie szpile tam gdzie nie trzeba, jeżdżąc po tyłku, itp. dotarliśmy

do.... do furtki, tylko że nie tej właściwej. Ockneliśmy się w czyjś ogródku. Spróbowaliśmy jeszcze raz, aż Krzysztof uratował nas zdejmując nam z oczu opaski. Widząc resztę, która miała z nas niezły ubaw, szybko wymieniliśmy się wrażeniami. Niema jednak czasu bo DEPO czeka! Ta dziecięca prosta gra jest dla wszystkich (a także kadry) nie lada wyzwaniem. Chodziło tylko o to, by w godzinę w dwójkach przebiec jak najwięcej okrażeń po około 330m. To było bardzo wyczerpujące a jednak był jeszcze coś ważniejszego, lepszego.

Do swaczynce(jedzonej na ślepo z „przewodnikiem“) czekała nas najtrudniejsza próba. Dobraliśmy się w dwójki jak najmniej do siebie pasujące i... znów sala oświetlona świeżkami.

Nie sposób opisać atmosfery tego miejsca, ten pater mistyczny wpływał na wszystkich. A wtedy mieliśmy się w 1,5 minuty wypowiedzieć swemu partnerowi na temat: Kim jest moja mama? To pytanie zostało nam zadane cztery razy pod rząd. Kto tego nie przeżył nie zrozumie. Nawet największy poeta nie byłby zdolny opisać tego słowami. To trzeba przeżyć. Potem jeszcze parę wyskupów jak maczanie tyłków w brudnej kałuży i spać.

Esze mozym,  
esze mozym,...



Nie bój się jechaj u  
doktora,...



Gimnastyka następnego ranka wyglądała jeszcze inaczej. W dwójkach próbowaliśmy głowami łapać śpiwory podrzucane przez trzeciego kompana. Było fajnie. Parę sztukerek głów i do pracy. Dziś robimy twarz dla naszego ludzika (był to ludzik wytwarzany przez cały czas kursu, pokazywał właściwego instruktora). W dwójkach jeden drugiemu robi maskę z gipsu. Niektóre nawet przypominały ich pierwowzór. To już niestety ostatnia gra tego kursu.



Kursu, który nie odbyłby się bez szkoleniowców (Krzysztof, Bastek) oraz ekipy kuchennej (Basia, Bebi, Daro, Fifez, Tomasz i Max). Należą im się za to podziękowania. Część uczestników wróciła do domów zmieniona.

Część być może nigdy nie stanie się przybocznykami nie będzie pracowała z młodzieżą. Większość z nich będzie rodzicami. Ten kurs dał wszystkim coś tak szerokiego zakresu, że nie sposób z tego nie skorzystać.

Jest tym rezultatem: **Zacznij od siebie**

Mmm...  
Ta siednie



Brónio & Jaco s.r.o.

